
JÓZEF
RYBIŃSKI
SŁOŃCE
NA MIEDZY
U PANA BOGA NA PODLASIU
INSTYTUT WYDAWNICZY
KREATOR

# SŁOŃCE NA MIEDZY

JÓZEF
RYBIŃSKI

# SŁOŃCE NA MIEDZY

## U PANA BOGA NA PODLASIU



INSTYTUT WYDAWNICZY
KREATOR

Redakcja: Ewa Karczewska
Skład: Piotr Pisiak
Projekt okładki: Piotr Pisiak
Korekta: Barbara Popławska
Zdjęcia: Józef Rybiński

Wydanie I
BIAŁYSTOK 2011
ISBN 978-83-7344-060-9

© Copyright by Instytut Wydawniczy Kreator, Białystok 2011
All rights reserved, including the right of reproduction in whole or any part in any form.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez pisemnej zgody posiadaczy praw autorskich.



INSTYTUT WYDAWNICZY
**KREATOR**

15-762 Białystok
ul. Antoniuk Fabr. 55/24
85 662 92 67 – redakcja
85 654 78 06 – sekretariat
85 653 13 03 – dział handlowy – hurt
85 654 78 35 – sklep firmowy – detal
www.iwk.pl e-mail: biuro@iwk.pl

PRINTED IN POLAND

# Spis treści


Wstęp ..... 7
Durman ..... 9
Budnik ..... 13
Iuhasia ..... 23
Czuchno ..... 29
Bautruk ..... 35
Kremlowskie kuranty ..... 39
Jeszcze o rzeczach dziwnych ..... 59
A ziemię należy zasiać! ..... 63
Wróżba ..... 73
Z kryształowej kuli – Spełniła się pierwsza wróżba ..... 85
Hłuszman ..... 89
Kraina Kwitnących Sadów ..... 99
Na spotkanie wiosny ..... 99
W drodze powrotnej ..... 100
Był kiedyś na wsi taki piękny zwyczaj! ..... 101
Drzewo owocowe – świętością! ..... 103
Niestety ..... 105
Dlaczego tak jest? ..... 107
A ja chciałbym widzieć nasz piękny polski kraj ..... 108
Być może... ..... 109
Kto nie wykopał studni ..... 109
Od wschodu do zachodu słońca
czyli Bajka o chciwym człowieku ..... 111
Dziadźka Cezary i jego szalony rumak ..... 137
Dziadźka Cezary i jego szalony rumak (dokończenie) ..... 149



Fot. Ewa Zwierzyńska

# Wstęp

Jechałam do Saczkowców z wielkimi oczekiwaniami. Jak w przeciągu 100 lat zmieniła się ta wioska, którą znałam z kart książki „Słońce na miedzy"? Czy odnajdę tu ślady starego, przedwojennego Podlasia, tak pięknie opisanego we wspomnieniach Józefa Rybińskiego?

Przywitały mnie dwa rzędy drewnianych domków, przycupnięte po obu stronach ulicy. To oczywiście nie jest ta sama wioska. Zmienił się czas, starzy poumierali, ich miejsce zajęły kolejne pokolenia. Saczkowce, podobnie jak większość wiosek na Podlasiu, postarzały się, wyludniły. Przed wojną duża, gwarna wioska dziś skurczyła się do połowy, a może i ćwierci. Pomiędzy zamieszkałymi domami sporo opuszczonych, ziejących nostalgią z pustych okien. Nie ma już słomianych strzech, a na dachach pojawiły się anteny satelitarne.

Niestety, nie ma już domu należącego do rodziny Rybińskich. Został po nim pusty plac zarastający krzakami i studnia przy drodze. Nie zachowało się też ani jedno owocowe drzewko z tych opisywanych w książce rzędów wisien, jabłonek ani z tych najsmaczniejszych na świecie gruszek „żoucieńkich", które rozpływały się w ustach ze słodyczy, chociaż wydawało się, że „ta grusza jest od początku świata i będzie tam rosła aż do jego skończenia".

To, co mnie urzekło w Saczkowcach, to nie domy ani ulica, a nawet nie sterty kamieni, które same „rosną" tak jak przed wiekami i zalegają w okolicy całymi kupami. To, co rzeczywiście jest tu piękne, to – ludzie. Serdeczni, prości, ciepli. Bez niepotrzebnych ceregieli otwierają swoje domy i serca dla zabłąkanego poszukiwacza przeszłości. Tutaj obojętny dystans wielkomiejskiego świata nie

znajduje dla siebie miejsca. Pośród przyjaznych, otwartych ludzi szybko można poczuć się „jak u siebie".

Starodawne Podlasie wraz z całym bogactwem tradycyjnych obrzędów i obyczajów odeszło, choć nie całkowicie. W tym zakątku wciąż na wigilię gospodynie przygotowują kisiel z owsa, a resztki kutii zanoszą kurom, „aby dobrze się niosły w nadchodzącym roku". Nikomu nawet do głowy nie przyjdzie wyrzucanie sianka spod wigilijnego obrusu. Gospodarz zanosi je do obory i częstuje krowy i owce.

Podczas jednej z moich wizyt w Saczkowcach najstarsi mieszkańcy, którzy znali i przyjaźnili się z Józefem Rybińskim, przekazali mi informację o spisywaniu przez Autora dalszego ciągu wspomnień. Pogłoski te okazały się prawdziwe. Córce nieżyjącego od 24 lat pisarza udało się odnaleźć pożółkłe maszynopisy, na których odnajdowałam dobrze mi znany, ciepły ton gawędziarza powracającego we wspomnieniach do krainy swego życia – Podlasia. To kraina, w której zapach łąk i pól miesza się z różnymi językami, religiami i narodami. Tutaj powrócił z wojennej zawieruchy i żył aż do śmierci.

Jakżeby mogło być inaczej? Przecież to tu cieszył go widok kwitnących sadów, to nad wielkim bagniskiem Wierbino (dziś osuszonym i zmeliorowanym) widział zrywające się z łopotem dzikie kaczki, słuchał trąbiących bekasów i wdychał aromat ziół zrywanych przez babcię „na lekarstwo". To tutaj skrzypiące żarna mielące mąkę na chleb opowiadały mu bajki...

Losy pisarza zaplątane w wojenną zawieruchę powracają w kolejnych rozdziałach jak szklane paciorki nanizane na nitkę życia. Dziś możemy je wziąć w rękę i przyjrzeć się dokładnie ich kolorom i kształtom, odnaleźć całe bogactwo tamtego zaginionego i zapomnianego świata.

Z wielką radością polecam Czytelnikom III tom „Słońca na miedzy". Dla tych, którzy znają poprzednie dwa tomy, będzie to kontynuacja tej fascynującej podróży. Dla innych – zapoznanie się z krainą, która powraca do wielu z nas, gdy zmrużymy oczy i wspomnimy swoje własne słońce na miedzy...

Ewa Zwierzyńska

# Wróżba

Wielkim powodzeniem cieszyły się podczas okupacji wróżki: kabalarki, chiromantki i innego pokroju osobnicy, którzy posiadali wcześniej albo w tym czasie odkryli u siebie zdolności przewidywania ludzkich losów, czyli jasnowidzenia. Tylko biednych Cyganów spotykaliśmy wtedy jakoś bardzo rzadko. Trudno im było ukrywać się na równi z Żydami. Niemal w każdej rodzinie ktoś zaginął bez wieści na wojnie, w łapance lub po prostu nie wrócił do domu. Ludzie udawali się do wróżek nie z wiary w ich przepowiednie, lecz z rozpaczy. Chcieli, aby ktoś zmienił tok ich myślenia, ukierunkował albo nawet utwierdził ich w tym, co jest najgorsze. Jakże ciężko jest pozostawać w dręczącej niepewności. W podobnej sytuacji zwróciła się do mnie ciocia Józia.

W Skomoroszkach, podobnie zresztą jak i w innych wsiach, była organizacja podziemna, która koncentrowała się w mieszkaniu pani Piątkowskiej. W tamtym czasie wszyscy, bezpośrednio lub pośrednio, należeli do jakiejś organizacji podziemnej. Nikt nikogo nie pytał, nawet nie interesował się, jaki ona ma program polityczny, kto nią kieruje – o tym będzie czas po wojnie – teraz chodzi tylko o to, by w jakikolwiek sposób dopomóc komuś, kto walczy ze znienawidzonym okupantem.

Otóż w odróżnieniu od innych miejscowości we wsi Skomoroszki, odległej o jakieś pięć kilometrów od Grodna, znalazł się renegat. Zdrajca, i to ze swymi czterema synami. „Najgorszy jest domowy złodziej" – powiada ludowe przysłowie, toteż trudno było ukryć się niewielkiej grupie ludzi, którzy na własną rękę (?) podjęli walkę z okupantem we własnej wsi. Wieś „konspiracyjna" w pobliżu

większego miasta to niezwykle cenna baza wypadowa, punkt kontaktowy, niewyczerpane i pewne źródło informacji. I w takim środowisku znalazł się zdrajca, który doniósł do grodzieńskiego gestapo o wszystkim.

Aresztowano młodzież wraz z gospodynią domu. Pomimo tortur nikt się nie przyznał. Nauczyciel tejże wsi zbierał węgiel rozsypany na torach kolejowych z przeładowanych wagonów.

Szpicel doniósł, że nauczyciel „podłącza się do kolejowych drutów telefoniczno-telegraficznych, podsłuchuje rozmowy, zbiera informacje". Nauczyciel został aresztowany. Zarzut był zarówno bardzo poważny, jak i bardzo naiwny: nauczyciel przyznał się, że zbierał rozsypywany węgiel, ale robił to w dzień. Po raz drugi aresztowano panią Piątkowską wraz z nowo narodzonym dzieckiem. Pomimo tortur do niczego się nie przyznała, nawet kiedy na jej oczach grożono, że zaduszą jej niemowlę.

W tej sytuacji gestapo zaczęło naciskać szpicla, aby dostarczał dobre, sprawdzone informacje. Wtedy szpicel zaczął się ukrywać, zwłaszcza że Niemcom zaczęło się gorzej powodzić na froncie wschodnim. Ukrywał się w specjalnym schowku we własnym domu, a żona rozpowszechniała pogłoskę, iż jej mąż pracuje w Niemczech na bardzo wysokim stanowisku.

Ale i w tym wypadku nic się we wsi nie może ukryć; wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

Dziś trudno jest domyślić się, dlaczego nie zlikwidowano szpicla? Broni mieli pod dostatkiem. Po napaści hitlerowskiej na lotnisku w Karolinie pozostały nietknięte całe arsenały.

W Karolinie, w Kiełbasinie, w Skomoroszkach można było kupić nowiutki, sowiecki nagan wraz z nabojami za kilogram słoniny lub butelkę samogonu. Prawdopodobnie nie zlikwidowano szpicla dlatego, iż organizacją kierowała kobieta; one niechętnie ferują podobne wyroki, w ich naturze zakodowane jest pomnażanie ludzkości, a nie jej zatracenie. Pewnie ktoś z poszkodowanych, katowanych w więzieniu doniósł do gestapo, że ich szpicel ukrywa się we własnym domu. Przyjechało gestapo, okrążyło dom i wezwało do wyj-

ścia, a kiedy szpicel nie usłuchał, zagrożono podpaleniem domu. Wtedy żona nakłoniła, by wyszedł. Wyszedł z czterema synami. Chcąc ratować głowy, swoją i synów, zaczął zmyślać:

– Antek Pawłowski (mój wujek) i Kazimierz Pawłowski – mają broń – powiedział. Wydał nawet swego kuzyna, który posiadał dubeltówkę. Na szczęście gestapo nie zastało go w domu.

Opisuje to mój brat cioteczny Romek Pawłowski:

– Jak ci wiadomo, mieszkaliśmy na kolonii, z dala od wsi o niczym nie wiedzieliśmy. Gestapo bardzo często przejeżdżało obok naszego domu; już przyzwyczailiśmy się do tego. Widzieliśmy, jak rano 2 lutego 1942 roku jechało kilka samochodów, pełnych żandarmerii, w kierunku wsi. Ale zaraz nadbiegł kuzyn szpicla, któremu udało się zbiec, i opowiedział o tragedii, jaka wydarzyła się we wsi: zabrano rodzinę szpicla, ale i kilkunastu młodych ludzi. Nie przypuszczałem wtedy – pisze Romek – że mój ojciec już został zdradzony. On spokojnie krzątał się w stodole. W naszym domu przebywało kilku uciekinierów, jeńców sowieckich, zbiegłych z pobliskiego obozu w Kiełbasinie; była ukryta broń.

Nagle zobaczyłem, że jeden samochód z kolumny, pełen żandarmów, skręcił w boczną drogę prowadzącą do naszego domu.

Mama ostrzegła ojca, ale już było za późno. Uciekliśmy oknem kuchennym. Jeńcy pobiegli dalej, a ja ukryłem się w pobliskim zagajniku. Słyszałem bardzo wyraźnie jęki katowanego ojca. Miałem broń, ale nie przy sobie. Nie wiem, jak potoczyłyby się moje losy i naszej rodziny, prawdopodobnie zginęlibyśmy wszyscy, ale wtedy rzuciłbym się z bronią na Niemców, jestem tego pewny. Leżałem na śniegu i z rozpaczy gryzłem własne palce. Myślałem, że oszaleję. Wreszcie samochód zawarczał i widziałem, jak powieźli skrępowanego ojca. Początek lutego, on tylko w samej zakrwawionej koszuli, bez czapki. Nie przypuszczałem wtedy, że widzę go po raz ostatni.

Skradając się, wróciłem do domu. Klepisko w stodole i pokój w domu wyglądały jak jatka: podłoga i ściany były obryzgane krwią ojca. Wybiegłem na podwórze i zacząłem strzelać z pistoletu, aby

wrócili. Może zabiłbym chociaż jednego; aby zabili mnie. Byłem nieprzytomny.

Późną nocą wybrałem się do partyzanckiego oddziału w strupskiej puszczy. Po drodze mogłem zastrzelić dwóch Niemców patrolujących kolej, ale opanowałem się, ponieważ mogliby zginąć ludzie z pobliskiej wsi. We dwójkę, z dowódcą naszego oddziałku Adolfem Pawłowskim, wysadziliśmy transport czołgów. Ilu nasiekliśmy Niemców? Nie wiem. Zemściłem się, ale to wszystko nie wróciło mi mojego ojca – tak pisał Romek.

Wujek Antoni Pawłowski był to niewysoki, krępy, dobrze zbudowany mężczyzna, niezwykle silny, a przy tym bardzo pogodny, spokojny, życzliwy i małomówny. Był niezwykle odważny. Pomagając nam w czasie przesiedlenia, wywiózł z naszej wsi 23 karabiny ręczne, granaty i masę amunicji. Przewozić taki magazyn broni na odległość 30 kilometrów nie każdy by się zdecydował.

Kiedy go aresztowano, lęk ogarnął wszystkich, którzy byli w bezpośrednim z nim kontakcie. Ale mój wujek Antoni był tak bardzo małomówny, że ani podczas kaźni w stodole, ani w domu, no i zapewne podczas tortur w więzieniu nie powiedział ani słowa. Kiedy nie nastąpiły aresztowania – uspokoiliśmy się. Wujek Antoni Pawłowski był wspaniałym człowiekiem. Byliśmy pewni, że skoro nie przyznał się – zostanie zwolniony.

Osadzono go w Więzieniu Farnym w Grodnie i odtąd ciocia Józia nie miała od niego żadnej wiadomości. Nie przyjmowano od niej paczek z żywnością ani z bielizną. Zawsze tak pobożna, a teraz zrozpaczona ciocia Józia odwoływała się nawet do ciemnych mocy. Później wyspowiada się, będzie szczerze żałować za te swoje ciężkie wykroczenie przeciwko pierwszemu przykazaniu Dekalogu, ale dziś, za wszelką cenę, nawet kary doczesnej, a może nawet i czyśćcowej, pragnie czegokolwiek dowiedzieć się o swoim mężu.

– Chodź ze mną do wróżki – prosiła. – Jeszcze nigdy w życiu nie wróżyłam, toteż sama boję się iść – mówiła zrezygnowana ciocia. – Bo to podobno jest jakaś straszna wróżka. Wróży ze szklanej kuli, ale podobno wszystko wie, powie prawdę... tak mówią – dodała.

Zgodziłem się, ale przede wszystkim wiedziony ogromną ciekawością tak niezwykłego, a dotychczas jeszcze mi nieznanego sposobu wróżenia.

Skręcając z ulicy Brygidzkiej na ulicę Listowskiego w Grodnie, tuż przed kościołem Sióstr Brygidek, zastanawiałem się, jak też może, a raczej jak powinna wyglądać czarownica przepowiadająca przyszłość ze szklanej kuli? Musi być stara, gruba i – jak na wiedźmę przystało – niesamowicie brzydka: rozkudłana, w długiej czarnej sukni, przenikliwy, jastrzębi wzrok, którym natychmiast i bez trudu rozszyfruje moją biedną ciocię, z czym ona do niej przychodzi. Z pewnością zada cioci kilka zdawkowych pytań, z których od razu zorientuje się w sytuacji i zacznie bredzić swoje „przepowiednie". Przecież ja również „wróżyłem". Zresztą wystarczy jedno spojrzenie na bladą twarz cioci, jej zrozpaczone, podkrążone oczy, skuloną sylwetkę, by dokładnie odczytać jej nieszczęście. A jakież nieszczęście jest w obecnej sytuacji najczęstsze – aresztowanie, a dalej – to temat rzeka.

Jaka sceneria powinna towarzyszyć tajemniczej ceremonii przepowiadania ludzkich losów ze szklanej kuli? Ściany powinny być obite albo zawieszone czarnym suknem, na stole – czarny obrus z ciężkiej materii, a obok kapłanki czarnej magii, tajemnej wiedzy – czarny kot. No i jeśli nie sługa szatana – sowa, to przynajmniej kruk, który przecież nie zawsze jest biały.

Ciocia spojrzała na kartkę z adresem:

– Tak, to jest ten dom – szepnęła i zapukaliśmy do drzwi. Nie były zamknięte. Nawet nie zdziwiłem się, przecież „ona" wszystko wie! Siedzi gdzieś w pokoju, wpatruje się w tę swoją szklaną kulę i już wie, kto i z czym do niej nadchodzi. Jednocześnie uchyliliśmy czarną kotarę i znaleźliśmy się w małym pokoiku, również udrapowanym czarnym pluszem. A więc to tak wygląda świątynia grodzieńskiej kapłanki Pytii.

Ciocia cofnęła się strwożona wyglądem pokoju, a ja zdziwiony trafnością swoich przewidywań. Na podłodze leżał ciemny dywan, sufit był ściemniały od starości. Oprócz dwóch zwykłych krzeseł na środku pokoju stał wielki stół nakryty czarnym suknem, a na nim,

w południowym słońcu, które zaglądało do pokoju tylko przez jedno okno – błyszczała, mieniła się, nie rzeźbiona, lecz wypolerowana, gładka, kryształowa kula o średnicy około osiemnastu centymetrów, zupełnie podobna do tych, jakie spotykamy na odpustowych lub jarmarcznych straganach z wtopionymi tam świętymi obrazkami lub wiązankami sztucznych kwiatów. Skwapliwie wykorzystałem nieobecność kapłanki czarnej magii, zaszedłem od strony okna i – ze zrozumiałą ciekawością – zajrzałem do wnętrza kuli. Kupię sobie taką na jarmarku i będę wróżyć, wiedzieć wszystko – myślałem. Ale oprócz własnego, zniekształconego kulistością zwierciadła, odbicia niczego więcej nie zauważyłem.

Ciocia Józia fuknęła na mnie, skarciła tak, jakbym zbytnio zbliżył się do ołtarza tego czarnego nabożeństwa. Stała jak wryta, jeszcze bardziej blada, jeszcze bardziej nieszczęśliwa, rozglądała się po tej diabelskiej komnacie. Tylko ja pokpiwałem jeszcze z tej czarnej scenerii.

Brakuje tylko czarnego kota i puchacza – śmiałem się w duchu z tego kabalarskiego teatru, a może cyrku. Na nasze kolejne „Dzień dobry", aby zaznaczyć swoją obecność w niezamkniętym cudzym mieszkaniu, spoza kotary wysunął się kot. Czarny kot z dużymi, zielonawożółtymi ślepiami, które mrużył w w jaskrawym, południowym słońcu.

Przemieniła się w kota – przyszło mi na myśl.

Czarownica przemieniona w kota łasiła się przymilnie, jak tylko koty potrafią, co uznałem za dobry omen. Zawsze lepiej być w zgodzie ze wszystkimi, a tym bardziej ze złymi mocami. Nie wiedzieliśmy, co dalej robić. Przesuwaliśmy krzesło, chrząkaliśmy znacząco, podkreślaliśmy swoją obecność.

Byłem pewny, że jesteśmy obserwowani, a już na pewno podsłuchiwani, co może stanowić podstawę do jej przepowiedni. Kiedy byliśmy zajęci rozmową, ONA niepostrzeżenie dla nas, jak w kinie w nakładaniu się obrazów, stanęła przed stołem.

Ciocia przytuliła się do mnie kurczowo, a jej oczy mówiły: no, teraz widzisz sam, przekonałeś się, jak to jest? Umarłabym ze strachu, gdybym była tu sama.

# Kraina Kwitnących Sadów

## Na spotkanie wiosny

W przedziale pociągu ponownie oglądałem depeszę i jeszcze nie wierzyłem jej treści. Wczoraj wróciłem z Wiżajn (woj. suwalskie), gdzie po obu stronach szosy wznosiły się zlodowaciałe zwały śniegowe: tak wysokie, że zakrywały tablice znaków drogowych. Tymczasem ktoś na drugim krańcu naszego pięknego kraju zawiadamiał mnie o mającym się odbyć festynie – „Dniach kwitnącej jabłoni". Pojechałem bez większego przekonania, zasugerowany romantyczną nazwą spodziewanego widowiska.

Już za Białymstokiem śnieg jakby w oczach tajał, w okolicach podstołecznych śmiało prezentowała się seledynowa ruń oziminy. W dalszej podróży, niemal z każdym dziesiątkiem kilometrów, drzewa ożywiały się, pokrywały się liśćmi, aby nazajutrz obielić się kwietnym szaleństwem. Podziwiałem tak wielką różnicę klimatyczną przy niezbyt dużej odległości geograficznej. Byłem zaszokowany nie tylko tak nagłą zmianą pory roku, ale przede wszystkim niezmierzonymi obszarami kwitnących jabłoni. Nie tylko na wsi, ale i w Nowym Sączu każde wolne miejsce wykorzystano na drzewa owocowe, jabłonie. Pierwsze wrażenie: ludzie dostali sympatycznego kręćka na punkcie sadownictwa: półtora miliona – jak mnie zapewniano – drzew owocowych jest liczbą niemałą.

To było już dość dawno. Nie wiem, jak jest tam dziś, ale wtedy nie interesowały mnie zabawy ludowe, festyny, przebierańce. Fascynowały mnie spotkania młodych rolników – ogrodników, sadowników – z poważnymi profesorami, naukowcami, którzy niemało

dowiedzieli się od góralskich praktyków. Podziwiałem zapał, z jakim wypowiadali się o swoich sadach, o swojej pracy, o własnych doświadczeniach.

## W drodze powrotnej

Już zupełnie inaczej aniżeli przed tym spoglądałem na przesuwające się za oknem, zmieniające się „ku zimie" krajobrazy. Raziły mnie – czego przedtem nie dostrzegałem – puste pola... Wokół nowoczesnych zagród, nierzadko „willi", czytaj: betonowych bunkrów z otworami zwanymi oknami, albo topole, fikuśne świecki, albo cmentarne tuje, najczęściej – pustka. Od tego czas ustawicznie nurtuje mnie pytanie: dlaczego nie u nas, na Białostocczyźnie? Dlaczego by nie w całym kraju?

Pamiętam, że w okresie międzywojennym rozpowszechnione było piękne hasło: SAD PRZY KAŻDEJ CHACIE! Akcja ta miała przede wszystkim na celu zwiększenie dochodowości, przeważnie głodującej ludności wiejskiej poprzez zakładanie niewielkich sadów, które nie wymagałyby większej pielęgnacji specjalistycznej. Hasło to podjęły szkoły – harcerstwo, organizacje młodzieżowe, a zwłaszcza Koła Młodzieży Wiejskiej „SIEW", które siały tę cenną inicjatywę w najodleglejszych zakątkach kraju. Dlatego też zazieleniły się od wianków drzew owocowych nasze zagrody, a nawet... drogi. Pamiętam, że w 1934 roku, będąc na letnich manewrach lotniczych w okolicy Łodzi, spoglądałem z góry na kilometrowe odcinki szos otoczonych po obu stronach kwitnącymi drzewami owocowymi.

Dla mnie był to widok nowy, niezwykły.

A u nas, na Białostocczyźnie, w powiecie sokólskim, słynne były tak zwane „długie wioski". Długie wioski to kilkudziesięciokilometrowy wianuszek drzew owocowych: przy ulicy – jabłonie, grusze, wokół stodół śliwy, czereśnie, a droga prowadząca do stodoły i na ścienkę, czyli ścieżkę poza opłotkami wsi, koniecznie musiała być

obsadzona wysokopiennymi wiśniami. U dołu – krzaki agrestu, czarnej porzeczki – „smrodiny", maliny. Ale jeszcze przed tym:

## Był kiedyś na wsi taki piękny zwyczaj!

Zwyczaj – nazwijmy go – bardzo urokliwy. Po urodzeniu się dziecka, na jego „intencję" ojciec lub dziadek sadził drzewko owocowe – jabłonkę. Rodzice chrzestni dorzucali w prezencie, jesienią albo na wiosnę, po dwa drzewka. I tak rosły, wzrastały dzieci, a razem z nimi rosły ich drzewka. Drzewa były pielęgnowane niezwykle troskliwie, wiadomo bowiem, że ich wegetacja rzutuje na życie tego małego człowieczka, była wyrocznią jego losów, witalności i całożyciowego powodzenia. Sadzono[1] też drzewka z okazji Pierwszej Komunii Świętej, bierzmowania, rozpoczęcia i zakończenia nauki w szkole, ślubu. I tak znowu przybywało dzieci, znowu poszerzały się przyzagrodowe sady, bo okazji nie brakowało. Zasadzano też drzewa owocowe jako śluby na uproszenie jakichś łask, następnie – jako wota dziękczynne. Ale nie tylko swoista, tak naiwna mitologia prostego ludu sprzyjała rozwojowi sadownictwa przyzagrodowego, sadzenie drzew owocowych wykorzystywano jako wróżbę o losach najbliższych, którzy byli na wojnie lub zaginęli. Była to wróżba straszliwa: jej niecodzienna niezwykłość polegała na... prawdziwości, wiarygodności[2]. Zwyczaj ten sięga chyba czasów 25-letniej służby wojskowej w carskiej armii.

Okazji do zakładania i powiększania sadów przyzagrodowych nie brakowało, po prostu: „aby sadek był". Aby cieszył oko, kiedy na wiosnę zakwitał, aby w letnie niedzielne i świąteczne popołudnie można było odpocząć w jego chłodnym cieniu, aby jesienią dzieci nie zakradały się do cudzych ogrodów, aby gościa czy też każdego przechodnia można było poczęstować, obdarować, pochwalić się zarówno jakością, dorodnością, jak też i obfitością owoców.

---

[1-2] Z sadzeniem drzew owocowych był niemal rytuał. Vide moje wspomnienia: *Słońce na miedzy,* tom I, wyd. I, strony: 29-31, rozdział pt. „Sady i ogrody" albo tom I, wydanie II, strony: 30-33.

Obdarować hojnie, ponieważ: „Czego nie kupować – tego nie należy żałować". Albo też: „Gruszka – minuszka – Pan Bóg Najdobrotliwszy na drugi rok znowu obdarzy!". I Pan Bóg dawał. Tylko że należy Niebiosom dać szansę i... drzewo posadzić. Manna już dawno przestała z nieba padać.

W jaki sposób zaopatrywano się w drzewka? Szkółek nie było, a jeżeli nawet były, to trzeba sporo zapłacić. Najczęściej wyszukiwano w lesie dziczki i jeśli owoce ich okazały się zdatne do jedzenia, wykopywano je. W innym przypadku – szczepiono. Prawie w każdej wsi był taki sadownik, który miał „lekką" rękę do szczepienia. A oprócz tego...

Przy ówczesnym trójpolowym[3] systemie uprawy roli w ciągu sezonu wyrastały na zagonie, zasiane „drogą naturalną", latorośle, które rolnik odróżniał jako owocowe. Jeśli nie przesadził ich na miedzę, to starannie omijał je sochą lub pługiem. I tak od wieków wyrastały coraz to nowe, dzikie polne grusze, które – oprócz wiatraków – stanowiły tak charakterystyczny, urzekający koloryt wschodnio-podlaskiego krajobrazu.

Samotnie stojące w polu drzewa nabierały mocy i dzielnie przeciwstawiały się jesiennym wichrom; głęboko sięgające korzenie broniły je od suszy, uodporniały się przeciwko lutowym mrozom i – o dziwo – wszelkim szkodnikom. Niedostatek jakościowy owoców w porównaniu z drzewami szlachetnymi poczciwe, stare polne grusze wynagradzały rozrzutną obfitością corocznego owocowania. Corocznego, wynikało to bowiem stąd, że samotnie stojące w polu drzewo mleczną bielą kwiatów zwabiało pszczele wyprawy. I dlatego też strychy, klepiska były jesienią zawalone dzikimi gruszkami. Jedne były zdatne do spożycia wprost z drzewa, inne – kiedy nieco odleżały, drugie – jako ulęgałki, inne – jako gotowane, suszone. Na wieczorynkach, kadzielnicach stały kosze z tą gruszkową rozmaitością. Każdy brał, ile tylko chciał, pestki i ogonki elegancko na glinianą podłogę – „tok" – wypluwał i chwalił. Spożywano je również

[3] Trójpolówka – zbożowo-ugorowy system uprawy roli, który charakteryzował się podziałem gruntów ornych na trzy pola, z coroczną zmianą kolejności upraw: zboże ozime, zboże jare, ugór.

z chlebem, ziemniakami; w biednych rodzinach suszone gruszki – ulęgałki stanowiły uzupełnienie wiosennego pożywienia. Kompot z suszonych dzikich gruszek – ulęgałek znany był jako domowy środek przeciwko wszelkim niedyspozycjom żołądkowym. Udający się w podróż, do pracy w polu, na pastwisko, napełniali kieszenie ulęgałkami, co z kolei rzutowało na ich dalszy „naturalny" zasiew.

## Drzewo owocowe – świętością!

Od niepamiętnych czasów z pokolenia na pokolenie przekazywano „zabobon", który należy nazwać mądrością ludową: „Nie wolno niszczyć drzew owocowych". Złamanie gałązki, nawet z dzikiego drzewa owocowego, poczytywane było jako grzech. Zrąbanie, spiłowanie drzewa owocowego powodować miało ubytek w rodzinie. Drzewo owocowe było na wsi podlaskiej swoistym tabu: nie wolno było drzew owocowych otrząsać, rzucać na nie kamieniami (owoce skamienieją), patykami (owoce zdrewnieją). Nie wolno pod drzewo owocowe siusiać, wylewać wodę po obmyciu nieboszczyka (drzewo zmartwieje), nie wolno przeciągać sznurów do wieszania bielizny, zawieszać karmników dla ptaków itp.

O zwykłym drzewie, na którym została zawieszona Pasyjka z Męką Pańską lub innym świętym obrazkiem, mówiono, że jest ono szczęśliwe, ponieważ do końca jego drzewnego żywota nie tkną go ani siekierą, ani piłą. A na drzewie owocowym nie wolno było zawiesić nawet Świętości. Nie tylko dla ozdoby okna, ale nawet dla umajenia Nabożeństwa Majowego lub Czerwcowego – nie wolno było ułamać kwitnącej gałązki nawet z dziko rosnącego drzewa owocowego. Po szacunku przeogromnym dla chleba drzewo owocowe było traktowane jako największa Świętość. Stąd też owo obwarowanie najprzeróżniejszymi zakazami i nakazami. Wspomnę jeszcze i o tym, że nie wolno było wycinać – siekierą lub piłą – nawet wyschniętych drzew owocowych. Należało odczekać jeszcze kolejny sezon – może drzewo przechoruje, puści nowe latorośle, odżyje.

INSTYTUT WYDAWNICZY
KREATOR
www.iwk.pl

Józef Rybiński – urodzony w 1912 roku we wsi Saczkowce, położonej niedaleko granicy z Białorusią. Pisarz, dziennikarz, publicysta, pracował w tygodniku „Panorama Północy". Znany miłośnikom Podlasia z wydanych niemal 30 lat temu wspomnień, w których w niezwykły sposób opisał bogactwo obyczajów i obrzędów rodzinnych stron.

Plastyczny i wyjątkowo sugestywny opis codziennego dnia zwykłego mieszkańca Podlasia przywodzi na myśl magiczny świat dzieciństwa. Uczestniczymy w podróży po powiecie sokólskim i jego „długich wioskach" z wianuszkiem drzew: jabłoni, czereśni i wiśni. Poznajemy bardzo urokliwy zwyczaj sadzenia drzew owocowych, które były swoistym tabu, świętością nawet. Urzekają portrety ludzi, zawsze serdecznych, otwartych i ciepłych. Pośród przyjaznych dusz można przywołać obraz pełen słodyczy najsmaczniejszych na świecie gruszek i śliwek zerwanych z sadu oraz zapachu pierwszej odwalonej skiby ziemi na wiosnę.

Nadstawmy zatem ucha i poczujmy słońce w swoim sercu…

PATRONATY MEDIALNE:




Cena: 29,20 zł (z VAT)

ISBN 978-83-7344-060-9